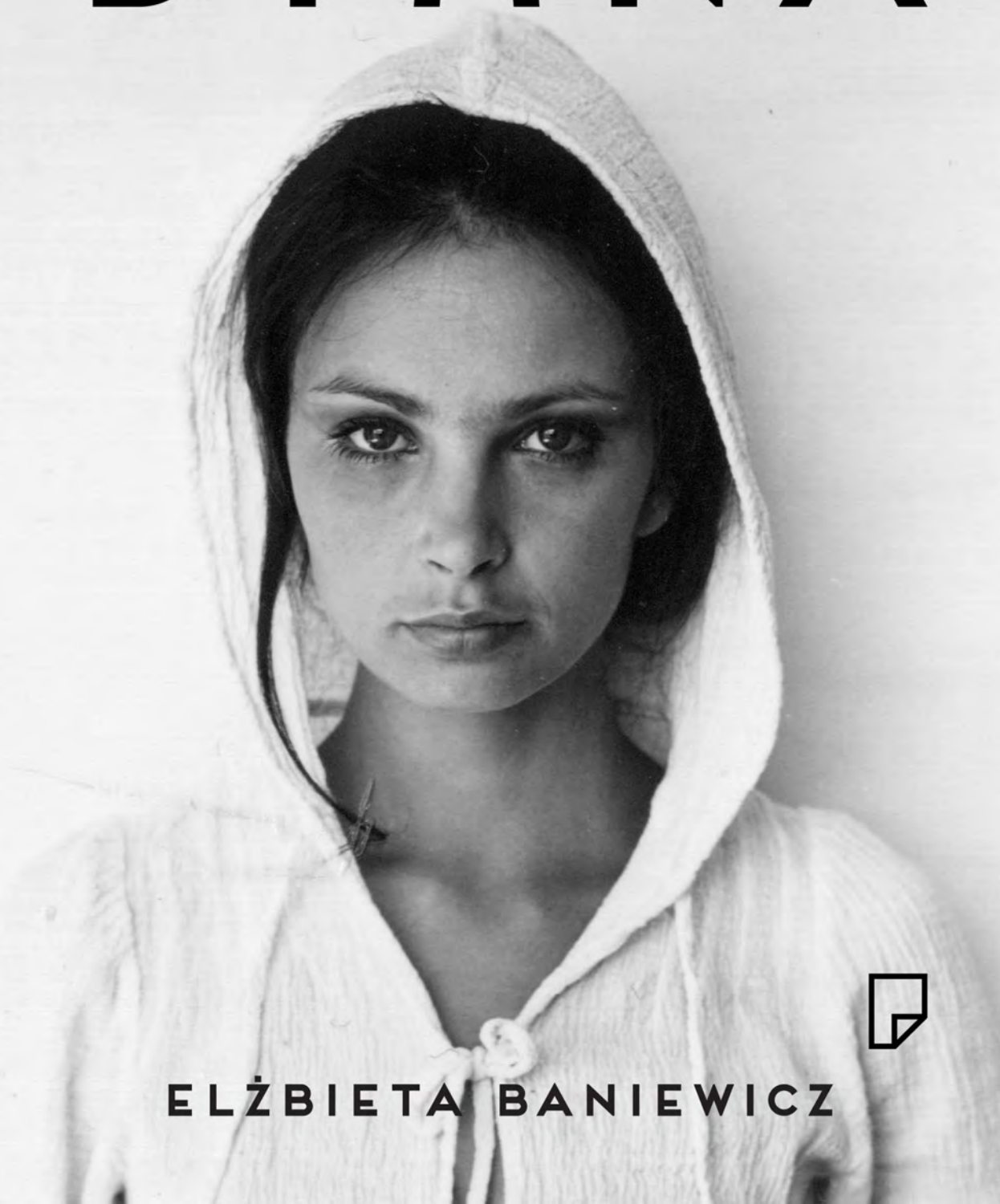


DYMNNA



ELŻBIETA BANIEWICZ

Copyright © by Elżbieta Baniewicz

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2014

AKTORKA CZY „FENOMEN SOCJOLOGICZNY”

Być aktorką i człowiekiem. Aktorów rzadko kojarzy się z filozofią, postawami moralnymi, wzorcami zachowań. Przed wiekami egzystowali na marginesie społeczeństwa, odmawiano im nawet pochówku w poświęconej ziemi. Mniej więcej sto lat temu zostali u nas, w kraju pozbawionym państwowości, wyniesieni na piedestał, ponieważ teatr traktowano wtedy jak świątynię sztuki przez duże „S”. Ale i to się skończyło. Teatr przestał już nawet być Hyde Parkiem, wentylem bezpieczeństwa, przez który uchodziły gorące społeczne emocje, już nie zastępuje wielu instytucji życia publicznego, jak to było za czasów minionego ustroju.

Zestawienie „aktor i człowiek” brzmi nieco osobliwie. Przecież każdy najpierw jest człowiekiem, potem dopiero lekarzem, hydraulikiem, politykiem czy kimkolwiek innym z racji wybranego zajęcia czy zawodu. Niby proste i oczywiste, a jednak nie każdego nazwiemy człowiekiem. Zwłaszcza osoby publiczne rzadko się tak określa, gdyż nie zawsze budzą szacunek, jaki chcielibyśmy wyrazić tym słowem. Wyjątkowym. Annę Dymną z całą pewnością postrzegamy chyba wszyscy jako Człowieka. Tak, właśnie przez duże „C”, i nie jest to komplement, lecz wyraz najwyższego uznania. Uznania czego? Cech charakteru? Pracy? Działalności charytatywnej? Prowadzenia Fundacji „Mimo Wszystko”? Zapewne z każdej tej przyczyny z osobna i ze wszystkich razem, a nade wszystko – postawy wobec bliźniego. Zapomnianej już dziś dobroci, pochylenia się nad problemami innego człowieka, jakikolwiek by był: ułomny, chory czy niedo-

skonały, współodczuwania przeznaczonego mu przez siłę wyższą losu. Nie zawsze szczęśliwego, rzadko się takie zdarzają. W ziemskiej wędrówce musimy niejedno pokonać, z niejednym się zmierzyć. Powiada się, że każdy dostaje tyle, ile potrafi udźwignąć. Niektórym spada na barki więcej, niż mogą unieść, wymagają wtedy wsparcia, pomocy, choćby zrozumienia. Przy czym nie zawsze chodzi o sprawy materialne, choć o nie także; czasem wystarczy dobre słowo, uśmiech, by szary dzień stał się mniej szary.

Anna Dymna potrafi współodczuwać z innymi, umie dać im uśmiech, dobrą energię, a oprócz nadziei często też konkretne wsparcie. Dlatego od innych – pocztą zwrotną – dostaje również wiele pozytywnych emocji i słów uznania oraz życzenia tysiąca lat w zdrowiu i pomyślności. Proszę pokazać drugą osobę, która byłaby uznana za życia za „apostoła” i „świętą”. A tu proszę:

„Aniu! Oświadczam Ci, że istnieje wędrówka dusz. Z uwagi na Twój szczególnie charakter – zbełtany dobrocią i przyzwoitością – powiedziałbym coraz bardziej apostołski, skłania mnie do przypuszczenia prawie pewnego, że jesteś wcieleniem jednego z apostołów; prawdopodobnie Pawła. Ale ponieważ masz płeć sobie właściwą, stajesz się na naszych oczach świętą. Będiesz pierwszą aktorką, która osiągnie ten społeczny awans w tej bezbożnej branży.

Z okazji 40-lecia nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć Ci wyrastania skrzydeł z najlepszego ptasiego puchu. Najlepiej łabędziego. Jesteś aniołem III-ej Rzeczypospolitej!!!

Tarzam się w Twoim anielskim łonie i całuję w najprzyzwoitsze miejsce – jak mawia poeta – bożego gaika.

Z bezkompromisową szczerością – Twój K.K.”
– napisał Kazimierz Kutz z właściwym sobie poczuciem humoru i wdziękiem w mailu z 26 listopada 2013 roku [wszystkie listy i maile cytowane są w książce z zachowaniem oryginalnej ortografii]. Jak w każdym żarcie i tu jest ziarno prawdy. Nawet spore. Skrzynka Fundacji w dniu imienin czy urodzin szefowej zapycha się setkami najlepszych życzeń, czasem pisanymi wierszem, gdzie słowa „dobroć”, „anioł”, „Pani człowieczeństwo”, „szczęście” i im podobne pisane są przeważnie wersalikami. Za wyrazami uznania kryje się podziw nie tylko wobec kobiet stworzonych przez Annę Dymną na scenie, małym i dużym ekranie, lecz nade wszystko szacunek

dla postawy i wyznawanych wartości, jakie stosowała przez całe zawodowe – tym samym publiczne – życie.

Być aktorką i normalną kobietą. To zdanie towarzyszy Annie Dymnej od początku kariery do dziś. Jako dewiza i hasło, jako cytat i wyznanie wiary, określenie jej stosunku do życia i zawodu. Wydawałoby się, że nie może być inaczej, bo niby jaką kobietą ma być aktorka, w dodatku jedna z najbardziej popularnych. Nienormalną?

Ale czy normalna kobieta rzuca dla pracy dom i rodzinę, by przez ileś dni, tygodni, a czasem miesięcy przymierzać się do losu zupełnie innej kobiety? Krok po kroku analizować sytuacje, w których tamta się znalazła, domyślać się motywów jej decyzji, przewidywać reakcje? Po to, by stworzyć zupełnie sztuczną konstrukcję wyobraźni w taki sposób, by wydawała się najbardziej prawdziwa? Czy normalna kobieta poświęca swoje prywatne życie tworzeniu złudzeń?

Kobieta żyjąca w luksusie czasem może sobie na takie fanaberie pozwolić, zapewne stąd bierze się przekonanie, że aktorki tak żyją. Praktycznie zaś luksusowe życie Anny Dymnej często wygląda tak: wstaje o piątej, o szóstej wsiada do pociągu, parę minut po dziewiątej rozpoczyna nagranie w Warszawie, o trzeciej znów wsiada do pociągu, aby zdążyć



Nad morzem dziczeję, czuję się wolna i szczęśliwa

przed siódmą na spektakl w Starym. Po miesiącu takich rozkoszy pyta konduktora, czy jedzie teraz do Warszawy, czy do Krakowa.

Nie każdą kobietę zatrzymuje wycieczka małałatów z prośbą, by się przemieniła w smoka wawelskiego. „Mamy już zdjęcie przed Wawelem, pod Sukiennicami, a teraz byśmy chcieli z panią Anią, na Rynku”. Na taką prośbę „przemienia się” w smoka albo inną pamiątkę z Krakowa, przystaje na chwilę, uśmiecha się, obejmuje nieznanne dzieci, chwilę rozdaje autografy, po czym biegnie, żeby się nie spóźnić na umówione spotkanie. Gdzie jest życie prywatne kobiety niezdolnej przejść incognito ulicą nie tylko w rodzinnym Krakowie? Gdziekolwiek się pojawi, zaraz słyszy komentarze: „Prawdziwa Dymna, patrz, jaka piękna!” albo „Jak się pani zmieniła!”, „Gwiazda z zakupami?”, „To pani jeszcze żyje?”.

Czasem przed teatrem czeka jakiś uporczywy wielbiciel z bukietem kwiatów albo zeszytem wierszy ułożonych specjalnie dla niej. Jeden przychodził przez parę miesięcy, przyniósł w sumie sześć grubych kajetów zapisanych poematami. Gorzej, gdy zdarzy się osobnik agresywny i niezbyt zrównoważony. Do tego typu panów ma szczęście szczególne – za nic w świecie nie chcą się pożegnać, grożą samobójstwem, jeśli się z nimi nie zwiąże, albo że ją zabiją. Jeden z nich ścigał ją po całym mieście, wrzeszcząc: „Zabiję ją! Zabiję!”. Ten człowiek dowiedział się, że ma raka, więc uznał, że „Ta Dymna” musi mu pomóc, bo jak nie, to ją zabije. Czy to jest to „luksusowe życie”?

Zdecydowanie woli panienki stojące pod Hawełką, które mijają w drodze do teatru. Uśmiechają się i pytają: „Co, do pracy, pani Aniu?!” a gdy wraca, mówią: „Co, i już z pracy, pani Aniu, a mu tu, kurwa, jeszcze stoimy i pracujemy!”. Do pijaków na Plantach i ulicach Krakowa też się przyzwyczaiła, to stała ekipa, nic złego nie zrobią. Czasem ich wspomaga drobnymi, bo rozumie, że to, co kupią, pozwoli im na chwilę zapomnieć o sobie. Jeśli ją oglądali w telewizji, to cmokną: „Ale się grało... ale się grało...”. Najbardziej podobała się im jako Molly Bowster w *Palcu Bożym* Caldwell, gdzie stworzyła rolę postarzałej, owdowiałej kobiety niestroniącej od kieliszka i nowego partnera, uczciwszej jednak niż tak zwane porządne towarzystwo miasteczka. Wtedy do „ale się grało...” pijackowie dodawali: „Królooowo, naaasza kochaana!”. Zabawne, ale się nie pomylili.

Na rowerze jeżdżę od zawsze i do dziś



Wiele miesięcy później właśnie za tę rolę oraz za Podstolinę w telewizyjnej *Zemście* dostała nagrodę im. Aleksandra Zelwerowicza przyznawaną przez miesięcznik „Teatr”. To są jej „prawdziwe” recenzje. Ale, poważnie mówiąc, po reakcjach ludzi z ulicy doskonale się orientuje, czy to, co ostatnio zagrała w telewizji (teatr i film mają tu o wiele mniejsze znaczenie), było dobre, czy nie, zupełnie niezależnie od tematu sztuki.

Czy każda normalna kobieta dostaje od nieznanymych dziesiątki listów? Od mężczyzn – z wyznaniem, propozycjami wspólnego życia i propozycjami całkiem niedwuznacznymi. Od młodych dziewczyn, które szukają w niej starszej przyjaciółki. Od kobiet dojrzałych, traktujących pisanie jako terapię, okazję do podzielenia się nierzadko gorzkimi przemyśleniami na temat życia.

Aktorstwo i jego publiczny wizerunek odbiegają od kryteriów, jakie do oceny tej pracy stosują recenzenci i krytycy. Jednakże przed lekturą



Całe życie ćwiczę, bo muszę,
najchętniej ze zwierzem

listów do „Pani Ani” nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mogą być tyleż wyrazem zaufania, uznania, ile odreagowaniem własnej sytuacji, kompleksów, frustracji, bezradnym szukaniem pomocy, kontaktu, niekiedy egoistycznym. Dlatego opublikowanie choćby fragmentów ich niewielkiej części wydało się interesujące jako wgląd w społeczny odbiór aktorstwa, a szczególnie osobowości Anny Dymnej. „Sława to klejnot, ale poobtłukiwany w stu miejscach” – pisał filozof Henryk Elzenberg w książce *Kłopot z istnieniem* [SIW Znak, Kraków 1994]. Nie bez racji. Jeszcze dosadniej ujął rzecz dalej: „Widzimy, jaki jest los wielkich dzieł twórczych, każdy czytelnik przystosowuje je do swojej mierności, tak że autor jest jak skazaniec indyjski, którego dusza dla

wiecznej pokuty musi się wcielać we wszystkie po kolei co podlejsze stworzenia. Każdy nowy czytelnik to nowe wcielenie i nowa męka” [dz. cyt.]. Zachowując stosowne proporcje, trudno nie zauważyć, że można to odnieść i do aktorstwa. Każdy rozumie je na swoją miarę. Niektórzy nadal uważają ten zawód za łatwą i lekką zabawę albo za przepustkę do celebryctwa, inni nie odróżniają granej postaci od prywatnej osoby, choć przecież na zdrowy rozum nie można być w jednym życiu kilkuset osobami.

Moja bohaterka dawno do tego przywykła i nie przejmuje się tym, jak jest odbierana; w tym sensie, że nikomu się nie podlizuje, nie nagina do panujących mód, zarówno gdy chodzi o wizerunek prywatny, jak i zawodowy. Była i jest sobą. Ładnie to ujął kiedyś Jerzy Trela, jej dobry przyjaciel: „Nie musi udawać kogoś innego, gwiazdy. Nie musi dostosowywać się do wymyślonego, wykreowanego stylu. Ania świeci sama sobą”. I za to ją kochamy.

I jeszcze jedno pytanie: Czy każda normalna kobieta dostaje listy z prośbami o wsparcie, spłatenie długów, przysłanie pieniędzy, używanych ubrań, a czasem nawet mebli czy lodówki? Znajomi po ich lekturze mówią o niej „zjawisko socjologiczne”. Zaczęły napływać gromadnie, gdy wraz z odzyskaniem wolności pojawił się kapitalizm. Że był i jest bezwzględny, świadczą liczne listy tych, którzy sobie nie poradzili w nowych warunkach ekonomicznych. Uświadomiły one aktorce wielkie obszary biedy społecznej, tej materialnej i tej psychicznej. Przede wszystkim zaś rozmiar społecznych potrzeb i bezbronności. Najpierw pomagała sama, wysyłała pieniądze, paczki z lekarstwami, ubrania, później wciągnęła do pomocy koleżanki i kolegów z teatru. Brała udział w akcjach zbierania pieniędzy na różne szlachetne cele, wspólnie organizowali aukcje, ale potrzeb nie ubywało. Rosły w zastraszającym tempie. Na świeczniku znajdowali się ludzie sukcesu, niekiedy podejrzanego, sądząc z liczby ujawnionych afer, zaś tymi zagubionymi mało kto chciał sobie zawracać głowę. Wszystko miała załatwić niewidzialna ręka wolnego rynku, ale jak widać, nie dała rady. I dać nie mogła, bo nie wszystko da się ująć w rubrykach winien–ma, a państwo musi pełnić swe funkcje opiekuńcze, choć dąży do tego, by się od nich uchylać.

Zobaczyła, że sama nie jest w stanie pomagać mądrze, że to, co robi, to partyzantka, w najlepszym razie gaszenie pożarów. Jedenaście lat temu, we wrześniu 2003 roku, założyła Fundację „Mimo Wszystko” i roz-



Nad Niagarą

poczęła nowy, bardzo intensywny etap swego życia. Dla niepełnosprawnych intelektualnie zbudowała w Radwanowicach pod Krakowem „Dolinę Słońca”, następne miejsce dla osób niepełnosprawnych buduje nad morzem. Działalność charytatywna, tym razem profesjonalna, rozwija się w tempie zawrotnym. Co chwila pojawiają się nowe wyzwania, potrzebujący wsparcia zgłaszają się bez przerwy. Anna Dymna stała się instytucją zaufania publicznego, „Dymnym pogotowiem”, jak mówi, dla wielu spraw i wielu środowisk, akuszerem rozlicznych działań w dziedzinie humanistyki. Nie, nie została naukowcem, badaczem literatury ani historykiem sztuki; jest za to „specjalistą” od rozmowy z człowiekiem.

Żyjemy coraz wygodniej – przez internet komunikujemy się ze światem, robimy zakupy, płacimy rachunki – ale też coraz bardziej samotnie. Tysiące

ludzi, nierzadko chorych, obija się o ściany swych mieszkań w poczuciu pustki emocjonalnej, zagubienia, nieprzystosowania, wszędzie bowiem – od lekarza po sklep czy bank – są tylko hasłem w komputerze. W pogoni za sukcesem i dobrami wszelkiej maści przestaliśmy widzieć siebie nawzajem. Anna Dymna nieustannie nas uczy, że ważne jest to, co służy człowiekowi. Umie słuchać innych i chce z nimi rozmawiać – oto jej lekcja humanizmu. Przejście od aktorstwa, zawodu kojarzonego powszechnie z lekką muzą, do zajęć zaufania publicznego samo w sobie jest fenomenem socjologicznym, zdarza się jak upał w grudniu. A jednak. Zjawiskowo piękna dziewczyna stała się zjawiskowo pięknym Człowiekiem.

Anna Dziadyk – pierwsza w życiu sesja zdjęciowa do „Przekroju” wykonana pod opieką Anny i Wojciecha Plewińskich, 1969





Wakacyjne podróże
motorem z rodzicami
i rodzeństwem



SKĄD TAKA URODA I CHARAKTER?

Dobre geny wynosi się z domu. Dziedziczy po rodzicach. Mama zawsze mówiła, że trzeba być uczciwym i pracowitym. Ojciec, że nigdy nie wolno sprzeniewierzyć się własnym przekonaniom, choćby to nie wiadomo jak wiele kosztowało. Rodzice się zawsze kochali, tworzyli harmonijną rodzinę, co dziś jest takie rzadkie. Dzięki temu aktorka wspomina dzieciństwo jako najpiękniejszy okres życia, mimo że było biedne. Szynka pojawiała się dwa razy w roku, na święta, jajko na niedzielę, a czekoladę, taką z orzechami, za trzydzieści dwa złote, dostawała tylko na imieniny. Jeden rząderek był dla starszego brata Jasia, dwa dla Jerzyka, bo młodszy, a dopiero reszta dla Małgosi. W domu Ania do tej pory pozostała Małgosią. Zabawek prawie nie kupowano, trzeba było je samemu wymyślić i wykonać, wszystko więc miało inną wartość. Mniej więcej dwudziestego każdego miesiąca kończyły się pieniądze, więc mama gotowała zupę kminkową. To jedyna



Za naszym pierwszym czerwonym fiatem oglądali się wszyscy



Wtedy mama mówiła na mnie Pimposia. Wakacje u babci w Dobrzejowie pod Legnicą

potrawa, której nienawidzi, poza tym została nauczona, że się nie grymasi. Kożuch z mleka był nagrodą za dobre zachowanie w ciągu dnia. Ale za to zawsze były święta, na choinkę robili z braćmi ozdoby. Zawsze były wakacje. Wyjeżdżali na nie całą rodziną, motorem z przyczepą. W soboty ruszali nad Rabę albo Dunajec, rozbijali nad wodą namiot i ojciec z braćmi łowili cały dzień ryby, które z mamą musiały patroszyć. Bez entuzjazmu, ale pstrągi pieczone na ognisku były wspaniałe!

Ojciec, inżynier lotnik, specjalista od metali, był zapalonym motocyklistą i całe życie brał udział w rajdach. Mama pracowała w biurze jako ekonomistka, zgodnie z wykształceniem, ale powinna być raczej lekarzem albo pielęgniarką. Emanowała dobrocią i ciepłem jak promień słońca. Była zupełnie niezwykłą osobą. Zawsze myślała o innych, czasem do przesady. Gdy ją okradł złodziej, mówiła: „Biedny, jakże się musiał denerwować, a zabrał mi tylko parę złotych”. To niezwykle mieć taką matkę, tak dobrą, że aż bezbronną wobec świata. Być może dlatego, że dzięki ojcu nie musiała się stykać z brutalnością życia.



Dumny tata – zwycięzca rajdów zakopiańskich – na motorze Victoria



Zawsze uśmiechnięta moja mama Janina



Pradziadek z cicią Eri



Mój ukochany pradziadek Wilhelm Pribnow
na dobranoc pozwalał mi wyrwać jeden włos
ze swoich wąsów

A może dlatego, że sama została wychowana pośród życzliwych ludzi. Jej dziadek – pradziadek aktorki – nazywał się Pribnow i przed wojną pracował jako leśnik w Brodach niedaleko Lwowa, a po wojnie w Dobrzejowie pod Legnicą. Aktorka zapamiętała go jako bardzo pięknego mężczyznę; miał brodę i wąsy, chodził w kapeluszu, a poza tym często zabierał prawnuczkę do lasu. Uczył ją kochać i rozumieć przyrodę. I najważniejsze – był Węgrem. Złościł się i liczył zawsze po węgiersku. No i wreszcie: był ojcem babci, kobiety dobrej i pięknej, jak głosi legenda rodzinna; w młodości została nawet wybrana Miss Wiednia.

Maria Wilhelmina, primo voto Tarczewska, wyszła za Jana Śądowicza (ojca mamy), człowieka bardzo oryginalnego. Pochodził spod Tarnowa. Skończył teologię i polonistykę, chciał zostać księdzem. Ale zakochał się



Babcia Wilhelmina Tarczewska, 1922



Dziadek Jan Sądowicz

w swojej szesnastoletniej uczennicy i tuż przed święceniami kapłańskimi wystąpił z nowicjatu. Mieli dwoje dzieci, ale się rozwiedli, a po paru latach znów oficjalnie pobraли, by po kilku następnych żyć jednak oddzielnie. Podzielili się dziećmi: babcia została z synem, dziadek z córką i sam ją wychowywał. Wojnę spędzili w Tarnowie. Potem przeniósł się do Orłowa, lecz po paru latach znudziło mu się morze i kupił dom w Zakopanem. Bez żadnego notariusza oczywiście, tylko na zwykłej kartce napisał, że kupuje ziemię „od płota pana M. do drzewa pana K.” i złożył podpis. Ufał góralom i nigdy się nie zawiódł. Dziadek uczył łaciny, greki i polskiego w gimna-

zjum. Pasjami pisał wiersze, głównie epitafia, i uczył pilnie wnuki różnych sentencji w starożytnych językach. Ponadto grał na skrzypcach i najpiękniej w świecie golił się brzytwą. Jako niepoprawny marzyciel snuł wiele niezwykłych planów, wnuczka pamięta, jak z braćmi słuchali ich niczym fantastycznych powieści. Ten dziadek, oryginał pod każdym względem, był chyba jedynym „artystą” w rodzinie.



Wilhelmina i Jan Sądowiczowie z malutką Janeczką, ok. 1926



Babcia z moją mamą



Mama

(obok) Młoda mama z ciotką Eri
i mój dziadek Jan Sądowicz,
lata dwudzieste

Rodzina ojca aktorki pochodziła ze Wschodu. W żyłach prababci Jadwigi Rakowieckiej płynęła krew ormiańska. Mieszkała w Kołomyi, gdzie pracowała w konserwatorium jako profesor muzyki. Wyszła za mąż za herbowego szlachcica Jana Machalskiego, lekarza. Mieli sześcioro dzieci. Ich córka Jadwiga Machalska, matka ojca, lekarz pediatra, wyszła za Stefana Dziadyka, inżyniera rolnika po studiach w Wiedniu. Z pochodzenia – podobnie jak pradiadek z rodu matki aktorki – był Węgrem. Jego ojciec pracował jako łowczy na dworze Habsburgów; jak wynika z rodzinnych ustaleń, na tym samym dworze jako leśniczy pracował pradiadek Pribnow.

Przejmująca biografia znakomitej aktorki i szlachetnego Człowieka

Fascynujący portret jednej z najwybitniejszych polskich aktorek teatralnych i filmowych, oddanej chorem i niepełnosprawnym, dla których założyła Fundację „Mimo Wszystko” i działa w niej jako Pierwsza Wolontariuszka. Życie nie szczędziło jej wspaniałych chwil i tragicznych doświadczeń. Zmagania zahartowały ją i nauczyły służyć słabszym, bezbronnym. Książka daje doskonały obraz epoki: najlepszych lat polskiego teatru i jego wybitnego ośrodka – Starego Teatru w Krakowie (z którym przez całe zawodowe życie jest związana) oraz Teatru Telewizji, dzięki któremu do dziś możemy oglądać jej wybitne role.

Nie ma Dymnej bez ognia. Podziwiam Anię i pożar serc, który wznieca.

GRZEGORZ TURNAU

Aniu! Jakie to szczęście, że przez tyle już lat jesteśmy razem w sztuce, pomocy innym, przyjaźni, i jesteśmy sobie wierni!

JERZY STUHR

Nikt nie klnie tak pięknie jak Dymna!

SONIA BOHOSIEWICZ

Prawdziwa Barbara Radziwiłłówna na pewno nie była taka piękna i seksowna jak Ania!

JANUSZ MAJEWSKI

Są kobiety piękne i mądre. Kobiet pięknych i mądrych, a przy tym dobrych i szlachetnych jest jednak na świecie mało. A takich, które byłyby dodatkowo świetnymi aktorkami? Anna Dymna tym tylko różni się od jednorożca, że istnieje.

MACIEJ WOJTYSKO

Mądra, dobra, pracowita i do tego piękna. Nic dziwnego, że syn stale poszukuje na jej plecach zaczątków skrzydeł. Czarownica jak Małgorzata Mistrza Bułhakowa.

KIRA GALCZYŃSKA

Zasłona przed nieszczęściem / Zasłona przed smutkiem / Zasłona przed wrażeniem, że czuje się pustkę / Zasłona, co rozpaczy tu zabrania wejścia / Zasłona, co odsłania się tylko dla serca / Zasłona skromna, płocha / Zasłona intymna / No, jak to zasłona? / To zasłona Dymna!

JACEK CYGAN

Anna Dymna pojawiła się w szczególnym momencie mojego życia. Jej obecność i pomoc, wszystko zmieniły: dała mi wiarę, że jestem potrzebny, i siłę do realizacji moich marzeń.

JANUSZ ŚWITAJ

To jedyny znany mi przypadek połączenia doskonałości ciała i ducha. Piękna, dobra kobieta i prawdziwy, niezawodny kumpel. Myślę o niej jak o najbliższej mi rodzinie.

JAN ENGLERT

ELŻBIETA BANIEWICZ – pracuje w miesięczniku „Twórczość” i w PWSFTviT w Łodzi. Autorka monografii o Kazimierzu Kutzu, Erwinie Axerze, Januszu Gajosie (nagroda „Pióro Fredry” 2013) i zbiorów esejów o teatrze.

PATRONAT
MEDIALNY



BOOKLIPS.PL IIII

www.marginesy.com.pl



9 788363 656577

cena 49,90 zł